

ERICA
SPINDLER

Jesteś
jak osień

Przełożyła:
Klaryssa Słowiczanka

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zakole Missisipi, 1984

Żadne miejsce na świecie nie ma takiego zapachu, jak delta Missisipi w lipcu. Przejrzały niczym zapach owocu, który leżał zbyt długo w słońcu. Cierpki jak oddech pijaka. Jak pot. Jak fetor brudu.

Jest suchy, odkłada się w ustach i gardle. Najczęściej jednak bywa wilgotny i przenika wszystko, zdaje się wciskać w pory skóry. Becky Lynn Lee odgarnęła z karku włosy lepkie od potu i kurzu wiejskiej drogi. Ludzie z Zakola nie zwracali uwagi na zapachy, ona tak. Marzyła o miejscu przesyconym aromatem egzotycznych kwiatów i rzadkich perfum, o pięknym świecie zamieszkanym przez ludzi przyjaźnie uśmiechniętych, życzliwych, noszących delikatne, jedwabne szaty.

Wiedziała, że takie miejsce istnieje. Widywała je w pismach ilustrowanych, które kupowała przy każdej okazji, narażając się na kpiny kobiet przychodzących

do panny Opal i na pełne gniewu komentarze ojca, który nie mógł zrozumieć jej manii.

Uszczypliwości te nie miały dla niej najmniejszego znaczenia. Przyrzekła sobie, że kiedyś zamieszka w swoim wymarzonym świecie, a o świecie dzieciństwa zapomni.

Przeszła przez tory kolejowe, którymi ekspedowano z Zakola ryż, bawełnę i soję, i które oddzielały „dobrą” część miasta od „złej”, oddzielając tym samym szacownych mieszkańców miasteczka Bend od białej hołoty.

Becky zaliczała się do białej hołoty. Bolało ją to określenie. Zabolało bardzo, kiedy nazwano ją tak po raz pierwszy, i ból ten powracał, ilekroć myślała o swoim położeniu. A myślała o nim bardzo często.

Uniosła twarz ku niebu, mrużąc oczy przed mocnym słońcem. Biała hołota, powtórzyła w duchu i skrzywiła się na te słowa. Miała trzy lata, gdy zdała sobie sprawę, że jest inna, że ona i jej rodzina należą do gorszego gatunku ludzi. Dotąd pamiętała ten moment. Dzień był taki jak dzisiaj, gorący, bezchmurny. Najmniejszej chmurki – tylko lejący się z góry żar. Stała w kolejce na targu z matką i bratem, Randym. Trzymała się kurczowo brata, patrzyła na swoje bosa, brudne stopy i na twarze innych matek, w których wzroku dostrzegała współczucie połączone z odrazą. Wtedy zdała sobie sprawę, że na świecie są inni ludzie, którzy osądzają bliźnich. Pierwszy przeblýsk samoświadomości sprawił, że poczuła się dziwnie. Bezradna, wydana na wrogie spojrzenia, miała ochotę schować się za spódnicą matki. Pragnęła, by matka powie-

działał tamtym kobietom, żeby przestały jej się przyglądać tak nachalnie, by odwróciły wzrok.

Musiało się to dziać jeszcze w czasach, kiedy ojciec nie był lajdakiem, a matka wydawała się aniołem obdarzonym magiczną mocą.

Być może jednak już wówczas Becky Lynn rozumiała, że matka nie jest aniołem, że nie ma możliwości ani siły, by zapewnić córce bezpieczeństwo, bowiem nic nie powiedziała tamtym kobietom i nie sprawiła, żeby odwróciły wzrok. A one patrzyły na nią, jakby zrobiła coś złego, coś naprawdę wstrętnego.

Dzisiaj nawet klientki, którym myła głowy w salonie fryzjerskim panny Opal, traktowały ją jak powietrze. Jeśli rozmawiały z nią podczas mycia włosów, to tylko po to, żeby upajać się dźwiękiem własnego głosu. Płaciły za to, by się wygadać i usłyszeć grzeczne potakiwania, otrzymywały w ten sposób coś, czego nie dawali im mężowie. Kiedy spotykała później te same kobiety na ulicy, nie dostrzegały jej. Nie wiedziała, czy udają, że jej nie poznają, dlatego że jest córką Randalla Lee, czy też naprawdę jej nie poznawały, ponieważ tak naprawdę nigdy jej nie zauważały.

Tak czy inaczej odpowiadało jej, że jest niewidzialna. Wolą taką sytuację. Jako osoba niewidzialna nie czuła się takim strasznym odmieńcem. Była bezpieczna.

Zostawiwszy tory kolejowe za sobą, wciągnęła głęboko powietrze. Po tej stronie torów wydawało się ono jakby nieco słodsze i odrobinę chłodniejsze. Przyspieszyła kroku. Chciała dotrzeć do salonu na tyle

wcześniej, żeby zdążyć jeszcze obejrzeć najnowszy numer „Bazaaru”, który przyszedł dwa dni wcześniej.

Kilkadziesiąt metrów przed sobą zobaczyła czerwoną niby wóz strażacki furgonetkę, która przetoczyła się przez plac w tumanach kurzu. Tommy Fisher z bandą kumpli, pomyślała i serce zabiło jej mocniej. Prawdopodobnie jadą po jej brata. Zerknęła na pobocze, na pola bawełny. Odruchowo szukała schronienia, chociaż wiedziała, że nie uda się jej ukryć. Westchnęła, skrzyżowała ręce na piersi i z uniesioną hardo głową poszła dalej.

Na jej widok chłopcy podnieśli dziki wrzask.

– Hej, Becky Lynn! – zawołał jeden z wyrostków.
– Może umówisz się ze mną na randkę?

– Ładnie wyglądasz, Becky. Pies mojego ojca czuje się ostatnio bardzo samotny, co ty na to? – dorzucił inny przy wtórze rechotów.

Becky zacisnęła dłonie, nie zatrzymała się, nie spojrziała w stronę mijającej ją bandy. Nie chciała okazać, jak bardzo zabolą ją te zaczepki. Nawet gdyby miała paść trupem, nie zamierzała dać chłopakom satysfakcji.

Tommy zwolnił nieco.

– Hej, laseczko, a może chciałabyś spróbować, jak to smakuje? – zapytał, a dwóch wyrostków stojących na skrzyni furgonetki rozpięło rozporki.

– Gdybyś nie była taka paskudna, może pozwoliłbym ci go dotknąć – zakpił największy drań w bandzie Tommy’ego, Ricky.

Becky Lynn miała ochotę rzucić się biegiem przed siebie, uciec jak najszybciej i jak najdalej, ale zacis-

nęła tylko usta, żeby nie krzyknąć ze strachu i obrzydzenia.

Kiedy Ricky nachylił się, jakby chciał chwycić ją za ramię, uskoczyła na błotniste pobocze. Tommy nacisnął na gaz i furgonetka potoczyła się dalej, wznosząc tuman kurzu. Becky została sama, lecz w jej uszach wciąż dźwięczał sprośny rechot rozpalonych jej widokiem chłopaków.

Zaczęła biec. Żwir drogi boleśnie ranił obute w nędzne sandały stopy, uczucie paniki ścisnęło za gardło. Zatrzymała się dopiero na rynku. Tu czuła się już bezpieczna.

Zadyszana i drżąca, oparła się o ścianę narożnego sklepu. Dłonie położyła na brzuchu, zacisnęła mocno powieki. Czuła krople potu na czole, szyi, plecach. Ciągle miała przed oczami widok szydzących z niej, obnażonych nieprzyzwoicie wyrostków. Nigdy wcześniej tak się nie zachowali. Owszem, nawykła do ich pokpiwań, ale to, co spotkało ją dzisiaj, nie mieściło się jej w głowie.

Przerazili ją.

Objęła mocno ramiona dłońmi, powtarzając sobie, że jest już bezpieczna. Lato się kończyło, chłopcy byli znudzeni, chcieli zabawić się jej kosztem, zobaczyć lęk na jej twarzy. Jeszcze miesiąc, a wrócą do szkoły, zaczną treningi, nie będą mieli czasu ani energii, żeby jej dokuczać.

Ale będzie ich musiała widywać w szkole.

Z trudem walczyła z napływającymi do oczu łzami oraz z ogarniającą ją rozpaczą. W całym Bend nie miała nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc i ochronę. Była sama. Zupełnie sama.

Chociaż zmęczona, bezradna i bezbronna, zacisnęła z determinacją pięści. Nie podda się. Nie podda się, jak poddała się jej matka. Nie. Pewnego dnia pokaże Tommy'emu, Ricky'emu i całej reszcie miasteczka, na co ją stać. Nie wiedziała wprawdzie, jak tego dokona, była jednak pewna, że pewnego dnia wszyscy będą żałować, że nie byli dla niej miłsi.